



**HELENA
SEKUŁA**

A hand is shown holding a rolled-up banknote, likely a 100 Euro note, over a landscape. In the air above the landscape, a skull and a cross are formed from a white powdery substance. The background shows a rural scene with houses and trees under a dark, cloudy sky.

**SZLAK
TAMERLANA**

Helena Sekuła

SZLAK TAMERLANA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-11-1

Copyright © Helena Sekuła

Projekt okładki: Marcin Labus

I

Musiał mówić.

Musiał mówić, nie mógł powstrzymać nieodpartej potrzeby wypowiedzania myśli. Inaczej bezwzględna konieczność spełni się wbrew niemu przez niekontrolowaną lawinę informacji. Tylko czy w ogóle mógł nią jeszcze pokierować?

– Nazwisko?

– Norman Sidoine...

Ego pamiętało, że naprawdę nazywał się Kruszyński i mimo wielkiego wysiłku Kruszyński nie pozwolił Normanowi zdradzić powierzonej tajemnicy.

Uczepił się wspomnienia. Nie czegoś ze świeżych doznań, te umykały porażonej osobowości. Jego głębsze istnienie odwoływało się do pamięci dzieciństwa, podsunęło ratunek. Opowieść, kiedyś podsłuchaną z rozmów starszych, przeżyłą, odesłaną w zapomnienie, a jednak, jak się okazało, wciąż w nim obecną, doświadczenie jednego z mężczyzn rodziny, wyniesione z wojennej przeszłości.

Ranni, terminalni i szczęśliwcy zdolni do przeżycia, bez względu na płeć leżeli pokotem na betonowej posadzce niedobitej bombami hali targowej. Sienniki mieli nieliczni. Z zaimprovizowanych bloków operacyjnych szarytki, sanitariuszki i wolontariat prowadziły, ciągnęły na płachtach z workowego płótna, pełniących także obowiązki prześcieradeł bądź dźwigały na chałupniczo skleconych noszach rannych, martwych, dogorywających w pomieszczeniu wielkim jak hangar.

Pacjenci, budząc się z narkozy, wciąż jeszcze oszołomieni, wiedli monologi o sprawach błahych i znaczących, intymnych, wstydlivych, kompromitujących. Psychiczny negliz pod presją ubocznego działania dożyłnej narkozy, środków podarowanych zdruzgotanemu wojną miastu przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż.

Ów mężczyzna z rodziny, przerażony drastycznością zwierzeń, wydartych nieprzytomnym przez farmakologię, przyrzekł sobie oszukać przymus opowiadaniem zdarzeń nieważnych. I udało się. Słowa dotrzymał.

– Jestem synem kobiet silnych... – teraz późny wnuk powtarzał konwencję, karmiąc demona gadulstwa.

– Co on nadaje? – siedzieli przy nim obaj, jeden brodaty, drugi z krechą na policzku, krzywousty.

– Dyrzymały. Ja go jednak zaprawię – niecierpliwił się Brodaty.

– Spokojnie! Ty, zmumifikowany, jak się nazywasz?!

– Norman Sidoine... Wszystko, czego w człowieku nie złamię ból i strach, ma jednym nakłuciem odmienić chemia? Niedoczekanie! Centymetr płynu wbity w ciało? Upokarzające. Kim jesteśmy, czym jest charakter, siła ducha, godność, hart, rozum? Tyko glejem z bukietami neuronów, skoro kropla byle czego zmienia osobowość...

– Znów nadaje po polsku... Skąd znasz polski?

– Sławistyka na Sorbonie – podsunął błędną informację. – Znam rosyjski, niemiecki... *Iz podlogo wora ja stał żurnalistom stojkim i kriepkim bojcom... spasiba sowietom, spasiba czekistom, spasiba Stalinu rodnomu... Meine mütter – moja matka, sprzedawała apfel – jabłka, przyszła zięge – śliczna koza i sie hat gestohlen – z woza, paniatno, verstehen sie deutsch?*

Jednak coś w nim czuwało, pod warstwą porażonego jestestwa kuliło się głębsze istnienie, istnienie prawdziwe, nie bezkrytycznie uległe, chociaż bardzo słabe, jednak z całą pewnością nienależące do Normana Sidoine. Mozolnie rozdzielał myśli, ukrywając te, które muszą pozostać w nim. Morderczy wysiłek opierającego się JA wewnątrz niego i przeciw niemu.

– ...tysiąc koni przepuszczamy, a jednego zatrzymamy...

Miał wrażenie, że cała wiedza chce się z niego wydobyć niezależnie od jego woli. Uczucia znane z testów, jednak nie w takim natężeniu. Może preparaty były za słabe, może podtrzymywała świadomość sprawdzianu? Więc jednak świadomość...

Preceptor obiecywał antidotum neutralizujące ów mus, na dniach miało wyjść z prób. On już wyszedł z profesjonalnej obróbki, pozwolono odetchnąć, zamieszkać na mieście, cieszyć się wolnością i Paryżem. Zobowiązany, by stronić od emigranckiej kolonii, zwłaszcza rodaków, odkrył dzielnicę francuską. Okazało się – są jeszcze takie w tej wielonarodowej metropolii.

Znalazł tani pokój na mansardzie pod łupkowym dachem karawanseraju Mignon w Zaułku Bezwstydných Dziewczyn. Z podwórka pełnego czarnych kotów i ławic czarnych foliowych worków na śmieci prowadziła galeria na inną uliczkę, sień, położona w środku domu, miała drugie drzwi, wychodzące na jeszcze inną. Nareszcie poczuł się nieskrępowany, anonimowy, niezależny, poniekąd wolny.

– Średniowiecze było mniej pruderyjne, ulica od zawsze nazywała się rue Putassiere [*Rue Putassiere – (fr.) ulica dziwkarska.*] i nikomu nie wadziło, dopiero jakimś bigotom na początku stulecia – oświecił nowego lokatora patron, częstując przy cynku gościnnym calvadosem na dobry początek.

Obok, na podium wielkości stolika, bez względu na porę nocy zawsze wypinały się jakieś Artystki. Pieśniarki, tancerki, wróżbitki, iluzjonistki, akrobatki, mimy, chiromantki, astrolożki, wypinały się tak samo bez względu na emploi, odziane w szczątkowe kostiumy, jakieś kwiatki, usta, oczy, karciane czy gwiazdne symbole przyklejone na sutkach, haftowane cekinami kliny osłaniające płeć i złożone kogucie pierze na siedzeniu.

Wybór miejsca Preceptor przyjął do wiadomości z pobłażaniem, przypomniał tylko, że podrzędne kawiarnie niekoniecznie jedynie policja miewa na stajni.

– ...zelektryfikowany, zaopatrzony w komputerowy modem telefon niewłączony do sieci może wnikać do zamkniętych obwodów końcówką sztucznej pamięci z automatycznym *disc drive*...

– Co on klepie? – dowiadywał się Brodaty.

– Elektronika. Ogólnie wiadome – zbagatelizował ten ze szramą od skroni do górnej wargi, przez co usta przypominały łódkę ukośnie cumującą pod nosem.

– Nie ogólnie, tylko fachowcom – zaprotestował.

– Jesteś elektronikiem?

– Jestem Norman Sidoine, urodzony w Bretanii, obywatel francuski, sławista, szukam pracy...

– Masz fałszywy paszport – stwierdził Brodaty.

– Jest w porządku, w najlepszym porządku, lepszego w życiu nie widziałeś, certyfikat nie sparszywał od tego, że mnie nafaszerowaliście jakimś świństwem. Skopolamina? Przestarzałe, chemia poszła do przodu, sterydy, anaboliki, pentatin...

Pierwsza warstwa, tylko pierwsza warstwa, chociaż nie powinien mówić o elektronice, preparatach, używać rodzimego języka – ganiło istnienie głębsze, istnienie prawdziwe, zmagając się z drugim, porażonym JA. Człowiek starał się pokonać farmakologię.

– On sobie robi kpiny, dać po ryju? – chciał wiedzieć Brodaty.

– Mamy czas i dość specyfiku – powiedział Krzywy.

– Większej dawki mogę nie przeżyć. Szef nakopie ci do dupy, jeśli mnie utrupisz.

– Jaki szef?!

– Twój, wasz, diabli wiedzą, czyj, z pewnością nie mój... Nie mam żadnego, znajdę zajęcie, będę miał. Pierwsza warstwa, tylko pierwsza warstwa, reszta to chemia. Nazywam się Norman Sidoine, urodziłem się...

– Przestań! – zdenerwował się Krzywy.

– Odpowiadaj na pytanie – żądał Brodaty.

– Odpowiadam na pytania, nazywam się Norman Sidoine...

– Jezu, nie wytrzymam i naprawdę mu przywalę! – zawył Brodaty.

– Ściana Wschodnia, co wiesz o Ścianie Wschodniej? – domagał się Krzywy.

– Merde, merdowate, merdziane, merdologiczne, merdolone, mer... Jesteśmy dinozaury, może diplodoki z dwoma ośrodkami dyspozycyjnymi...

– Co wiesz o Ścianie Wschodniej?!

– ...w lutową noc roku tysiąc czterysta czterdziestego na polecenie wdowy po cesarzu niemieckim Albrechcie drugim, mieszcza wiedeńska Kotanner ukradła strzeżoną koronę Świętego Stefana, koronę królów węgierskich... demon gadulstwa brał swój żer, człowiek przezwyciężał chemię.

Człowiek znał Ścianę Wschodnią, Rzekę, Kanał, Wielką Morenę, Jezioro, Puszcę z natury, z map, makiet, filmów, wizji komputerowych. Zaliczył wszystkie sprawdziany, ostatni wizytował facet z Lyonu.

– ...spacyfikowane gangi, uszczelniona Marsylia, uodpornione na brudne pieniądze banki – mówił facet z Lyonu.

– Powiedzmy – zamruczał Preceptor. Facet z Lyonu udał, że nikt się nie odezwał.

– ...zmniejszył się wpływ, obrót, nawet sieć detalu, można było mówić o poważnym ograniczeniu, nawet niedoborze opiatów, kanabisów i pochodnych. Wprawdzie w Niemczech pojawiły się syntetyki, ale...

– Najlepsi w ersatzach i cyklonie... – znowu zamruczał Preceptor.

– Oni dostarczają surowce, proces chemiczny dokonuje się za miedzą, w Polsce. Przy różnicy kursu dolara do złotówki obróbka wypada prawie darmo. Gotowy produkt, nazywany przez dealerów speed, wraca do zleceniodawcy, jak na razie problem lokalny, poradzą sobie z nim sami Niemcy. Zresztą na Polaków nie ma co liczyć, faworyzują służby polityczne, a teraz mają kaca przez proces toruński. Sam odczuwam coś podobnego po wysłuchaniu filipiki, wygłoszonej w sali sądowej przez zabójcę oskarżającego ofiarę. Faszysta, popłuczyny po Goebbelsie, ale – mais revenons à nos moutons – powróćmy do naszych baranów. Na rynku, mimo poważnego odcięcia dostaw z krajów latynoamerykańskich, obserwujemy wzrost podaży opiatów i pochodnych. Ruszył Wschód. Mamy podstawy sądzić, że tranzyt odbywa się przez Polskę – mówił facet z Lyonu.

– Nie śpij, Norman, pierwszorzędne wiadomości. Nigdy takich nie słyszeliśmy – znów zamruczał Preceptor. Był praktykiem, powtórki znanych rzeczy nastrajały go sceptycznie.

– Aha, człowiek taszczył się aż z Lyonu, żeby nam to wszystko opowiedzieć – zgodził się Norman.

Norman Sidoine – tak się nazywał tutaj i jedynie Preceptor znał jego prawdziwe nazwisko, nawet nie jest pewne, czy zostało zakodowane w pamięci komputera, odkąd pojawiły się wirusy trapiące sztuczne mózgi.

– Oczywiście nie twierdzę, że to jedyna trasa – zareagował facet z Lyonu na wymianę szeptów między tymi dwoma – równie dobrze towar może płynąć szlakiem Hanzy, ekspediowany przez Rygę, Kłajpedę, Königsberg... Bierzymy też pod uwagę ewentualny kanał przez Bałkany. Ostatnio zatrzymano furgonetkę z Turcji. Przez Bułgarię, Jugosławię zdążyła do Włoch. Opiaty wieźli w torbach, nawet niezamaskowane. Lecz twoim zadaniem, Norman, jest identyfikacja traktów polskich – facet z Lyonu dźwignął się z otchłani skórzanego kluba, przypominającego skrzyżowanie kołyski z balią, zbliżył do mapy.

Była duża i prawie zwyczajna, lecz dotknięcie elektronicznej trzcinki rozświetlało wskazany punkt, dopóki następne dotknięcie go nie wygasiało. Graniczne miasta odpowiadały czerwienią, linie kolejowe mżyły srebrem, drogi – od autostrad po bite trakty – ożywały gamą fioletów, pas ziemi niczyjej lśnił czernią antracytu.

Obraz graficzny uzupełniała makietka. Dopracowane w szczególe rozjazdy, bocznice kolejowe, cmentarzyska rozpadających się wagonów na porośniętych mietlicą torowiskach,

dworce z wypalanej cegły, betonowe rampy, śmietniki, drewniane wychodki, ustawiane na słupach nad jamami, miasteczka skupione wokół kościołów, wyniosłe dzwonnice, okazałe plebanie.

Odtworzone w papier-mâché fragmenty Ściany Wschodniej rozstawiono na stelażach departamentami, jak to określali niepoprawni Francuzi, mimo całej znajomości rzeczy niepotrafiący wyjść poza swoje widzenie świata i podziały administracyjne tych „departamentów” rozróżniali trzy. Północny, południowy i reszta między tamtymi dwoma, wszystkie z dodatkiem „wschodni”. Żeby rzecz uprościć, departamenty ponumerowano. Na życzenie całą dokumentację komputer wyświetlał w dowolnej konfiguracji, powiększał wybrane fragmenty, synchronizował trójwymiar modeli z odwzorowaniem kartograficznym.

– Numer jeden: Kolej. Brześć, Warszawa, Poznań, Kunowice. Numer dwa: kolej. Lwów, Medyka, Przemyśl, Zgorzelec. Wariant A. Kolej. Medyka, Kraków, Bratysława, Wiedeń. Wariant B. Kolej. Lwów przez Małańce, Suwałki, Warszawę i tak dalej. Popraw mnie, Norman, jeśli zauważyłeś nieścisłość.

– Małańce nie mają bezpośrednich połączeń z Suwałkami.

– Zatem przeładunek na trasie, co stanowi dodatkowe ryzyko i ja wybrałbym raczej trakcję samochodową, chociaż tam nie ma autostrad.

– Rosyjskie tory są szersze. Na stacjach granicznych zmniejsza się rozstaw podwozia, wagony starego typu, bez automatycznej regulacji kół, przenosi na inne osie. Dobra okazja do zmiany środków transportu. Należy także wziąć pod uwagę szlak wina. Bardzo stary trakt. Przed epoką dróg żelaznych i motorów spalinowych tamtędy ciągnął handel, zwłaszcza wozy i tragi na płozach, z węgierskim tokajem przez Miskolc, Koszyce, Poprad, Łysą, na Kraków, na Gdańsk lub Szczecin. Od niedawna kursuje tam interesujący towarowiec cargo. Trasę od południowej granicy nad morze przebywa w czternaście godzin.

– Jak na Polaków, to osiągnięcie – pochwalił facet z Lyonu.

– Nie mam pytań – powiedział Preceptor.

– A więc witamy pełnomocnika grupy – uśmiechnął się do Normana facet z Lyonu. – Dobierzesz sobie ludzi, ich dossier przedstawi ci Preceptor.

Tak wyglądało ukoronowanie szkolenia. Najlepszy! Nawet nie wiedział, kim byli ci, spośród których zdobył najwyższą lokatę, poza tym, że rodacy. Nigdy ich nie widział. Przechodził od instruktora do instruktora, z ćwiczeń na ćwiczenia, z wykładu na wykład, zawsze sam, jeden, jedyny uczeń z nieodłącznym Preceptorem. Na wstępie powiedziano: najwybitniejszy otrzyma samodzielność, szeroko pojętą swobodę postępowania i decyzji. Musiał być najlepszy, musiał zdobyć prawo wyboru. Miał własny, sobie tylko znany cel, niedostępny nawet wszechwiedzącemu Preceptorowi.

– Potrzebujemy Polaków świeżo przybyłych z kraju, znających bieżące realia i przynajmniej jeden zachodnioeuropejski język, nie bierzemy emigrantów ani pobytovców – powiedział Preceptor na pierwszym spotkaniu, nie siląc się na żadne wstępy.

– Ale dlaczego właśnie ja, w jaki sposób do mnie trafiłeś? – zareagował zdumieniem, zdołał ukryć niepokój.

– Już powiedziałem, jestem z Interpolu – wyjaśnił, nic nie wyjaśniając Preceptor.

No tak, Norman – wtedy jeszcze nie nazywał się Norman – ledwo zaznał Paryża i nawet nie wiedział, że centrala Interpolu ma siedzibę w Lyonie. Zresztą ciężko uczulony na rodzime służby paramilitarne nigdy nie pomyślał o jakimkolwiek zbliżeniu z podobną organizacją. I nagle ten wysłannik, pojawiający się jak deus ex machina. Zbieg okoliczności, przewrotny dar losu, intuicja zawodowców? Poczul się nieswojo i w tej samej chwili uświadomił sobie możliwości, wynikające z propozycji, jakich dotychczas nie przeczuwał.

– Muszę jednak wiedzieć, w jaki sposób do mnie trafiłeś.

– Na młodych Polaków, zwłaszcza władających francuskim, zostały uwrażliwione nasze służby, a nawet pedle i konsjerżki. Ale ty dałeś się zauważyć w Berlinie. Jak widzisz, nic demonicznego. Proponuję ciekawą pracę i dobre wynagrodzenie.

– Ciekawą pracę już mam, powinienes i o tym mieć pojęcie, skoro tak wszystko wiecie – próbował wybadać, na ile jest dla nich przezroczysty.

– Nie powiedziałem „wszystko”. Powtarzam: naszą uwagę zwróciły twoje zainteresowania w Berlinie, szczególnie wieczorne zajęcia u Herr Doktora. Z jakiego powodu zaaplikowałeś sobie drogi kurs u zawodowego łamignata?

– Żeby w razie konieczności łamano cudze, a nie moje gnaty.

– On szkoli zawodowców.

– Możliwe. Nie byłem powiernikiem Herr Doktora.

– Przestań się jeżyć. Zbieram wiadomości o tej wszechnicy. Nasze służby napotykają adeptów podobnych szkół w różnych częściach świata. Najemnicy, cyngle, różni mięśniowcy.

– O werbowaniu do Legii Cudzoziemskiej, Afryki, do Latynosów mówiło się na Kreuzbergu, ale czego się tam nie mówi. Rezerwat biedy, nostalgii, nieprzystosowania, także hołoty bez skrupułów z pewnością dostarcza ludzi niekonwencjonalnym zawodom, lecz ci, poinformowani, z jakimi ja się zetknąłem, nie spotkali się z żadną podobną propozycją, a na prywatne lekcje u Herr Doktora ich nie stać. Studio znali z ogłoszenia w „Jelicie”. To polska knajpa w pobliżu parkingu frachtowców, właściwie „Pod Harnasiem”, ta nazwa się jednak nie przyjęła, powszechnie jest znane przezwisko.

– Zgadza się.

– Bywają w „Jelicie” pośrednicy czarnego rynku. Bywa polski Kreuzberg art. W starych, nieczynnych fabrycznych halach, magazynach, piwnicach, dzięki symbolicznym czynszom zaczęli osiedlać się artyści. Rzeźbiarze, malarze, kobiernicy, aktorzy, mimowie, tancerze, twórcy i animatorzy lalek, młoda polska sztuka, uboga jak mysz kościelna. Lecz to już zupełnie inny świat i nikomu z nich nie przyjdzie do głowy zaciągać się do Legii czy w służbę u Afrykanerów. Jeśli im pozwolą żyć i uprawiać swój kunszt, może wyrosnąć na Kreuzbergu swoisty Montmartre, więc, jak widzisz, właściwie nie przybyłem z kraju, tylko z Berlina, a ty potrzebujesz świeżych, wprost z naszego tygla.

– Kilka miesięcy nie ma znaczenia, ale... po kim nosisz żałobę? – Preceptor zauważył pasek czarnej krepy na kołnierzu bluzy.

– Matka.

– Tego nie wiedziałem.

– Umarła nagle niedługo przed moim wyjazdem na Zachód.

Nie widywał nikogo oprócz Preceptora, który cierpliwie poprawiał jego wymowę. Norman Sidoine, obywatel Republiki, nie mógł mówić źle po francusku, ten paszport pomyślano jako ochronę na wypadek ucieczki i sposób na szybkie przemieszczanie się poza granice. Zresztą przed wyprawieniem w Polskę miał otrzymać także dokumenty Republiki Federalnej Niemiec.

– Dostaniesz do nich kontakt. Unikaj polskiego aparatu ścigania i w żadnych okolicznościach nie wyjawisz nikomu istoty swojej misji, związku z nami. W kraju będziesz na polskim nazwisku.

– Najlepsze własne. Zawsze mogę spotkać znajomego albo kapuchę, po co ma łamać sobie głowę, dlaczego nazywam się inaczej...

Nie został wysłany do Lyonu. Jako Norman Sidoine przekroczył, to znaczy przejechał samochodem prowadzonym przez Preceptora, bramę Wyższej Szkoły Wojskowej przy placu Vendôme w Paryżu. Wsiąkł na wiele miesięcy. Wychodził stamtąd jedynie w towarzystwie Preceptora. Nie żadna wolność na przepustce, dalszy ciąg ćwiczeń, sprawdzian umiejętności, orientacji, odmiany wyglądu, a także zwyczajnego bycia pośród ludzi, żeby nie odwykł, nie zdziczał. Śmiać mu się chciało, kiedy Preceptor wodził go po Paryżu.

– Przecież będą działał przeważnie na zadupiu.
– Na czym, Norman? – Preceptor co i raz ujawniał podobne braki leksykalne w swojej dość znośnej zresztą polszczyźnie.
– W interiorze – przybliżył owo pojęcie podopieczny. Gdzież było Małańcom, Ogrodnikom, Medyce, czy Małaszewiczom do światowej metropolii. Jakie doświadczenie dało się tam przenieść? Raczej powinien odwyknąć.
– Zamknij się, szkolę kadrowego pracownika, nie byle cyngla. Wszystko w swoim czasie.

Woził go do Bretanii, wynajdywał pejzaże przypominające Ścianę Wschodnią. Iglaste lasy, małe miasteczka, wieś przeważnie o zmienionym charakterze, stare zagrody, tłocznie, domy, schludne, zadbane w niby naturalnych ogrodach, służyły rekreacji. Chłopska Francja odeszła w przeszłość. Jeden, dwóch farmerów z rodziną uprawiało areal dawnej gminy.

Osady na makiecie, nawet na filmach też wyglądały nieźle, chociaż niepodobne do kamiennych budynków pod lupkiem. Preceptor, który Ściany Wschodniej nie oglądał inaczej niż w technikolorze, mówił o niej z pewną nostalgią. Dużo drewna. Drewno było modne i w cenie, tylko intrygowały go wychodki, oglądał konstrukcje na dylach, bawił się zamykaniem i odmykaniem drzwi na modelach, chciał wiedzieć, po co są pod nimi doły, gdzie woda i w ogóle jak to funkcjonuje.

Ściana Wschodnia.

Budził się jakby ze snu, pamiętał wszystko, co się z nim działo, odkąd weszli na facjatę ci dwaj, Brodaty i Krzywy, lecz od pewnego momentu jakby amnezja, pustka. Nasłuchiwał. Cisza. Ostrożnie uchylił powieki.

Mansardowe okno z kretonową firanką, tapeta w chińskie pagody, leżał na wielkim łóżku z niklowanymi zagłówkami. Nie ulegało wątpliwości – znajdował się w swoim pokoju na poddaszu karawanseraju Mignon. Czuł niesmak, suchość w ustach, coś podobnego do kaca.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI